

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 115

№ 1. Warszawa, 19 grudnia (1 stycznia) 1904 r. Rok VI.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.





Ranek zimowy.



Wszystkim naszym czytelnikom, współpracownikom i kolegom-myśliwym z rozpoczynającym się w dniu dzisiejszym Nowym Rokiem przesyłamy życzenia wszelkich pomyślności i spełnienia zamierzeń na każdem polu ich pracy.

REDAKCYA.

ZAJĄC POSPOLITY

(Lepus timidus)

przez

Wiktora Stephana.

(Praca, nagrodzona I-ą nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa).

(Dalszy ciąg).

Zając ogryza np. marchew, że tak powiem, wypukło, tak jednak ku środkowi, że ostatecznie marchew rozpada się na dwie części, a mysz np. ogryza wklęsło, t. j. wgryza się, i zazwyczaj tam, gdzie liście (nać) odcięto, do środka marchwi.

Zając w braku czegoś lepszego, żywi się chętnie lodygami żarnowca. Jednem słowem, zając mało potrzebuje do zaspokojenia głodu.

Normalnie, wychodzi zając na żer o zachodzie słońca, po deszczu jednak wychodzi znacznie, czasem godzinę lub dwie, wcześniej. Rano nigdy nie żeruje.

Gdy zając wśród dnia żeruje, to zapewne jest to samica, która, karmiąc, zazwyczaj więcej pożywienia potrzebuje.

W zimie wychodzą zające, względnie do zachodu słońca później na żer, ale też później z żerowiska wracają.

Zając żyje w wielożeństwie i czas parkotów także ściśle nie da się określić, zależnie bowiem od stanu powietrza, zaczynają się parkoty wcześniej lub później. Objaw płciowy oznacza się u zajęcy, podobnie jak u psów—jazdą samca po samicy.

W czasie parkotów jest zając niespokojny i w dzień, nawet w ruchu. U nas w łagodne zimy rozpoczynają się parkoty już w drugiej połowie stycznia, a w zwyczajnych zimach—w lutym.

W miejscowościach, w których zwierzynie zadają przez zimę koniczynę, zwykle parkoty rozpoczynają się wcześniej. Korzystniej jest jednak, gdy parkoty później się rozpoczną, gdyż zawczesne lęgi giną w znacznej części od mrozów i wilgoci, a samice giną również wskutek zapalenia, wywołanego napływem mleka.

Oznaką, że parkoty się rozpoczęły, jest naskubana i na ziemi, względnie na śniegu, kępkami leżąca turzyca. Nieświadomy tego objawu, szuka przyczyn i w rezultacie składa tę oznakę na drapieżne zwierzęta, które, pasując się z zającem, turzycy mu naskubały.

Z nastaniem parkotów samce wyszukują nieustannie samic, biegają z nosem przy ziemi za tropami samicy tak długo, aż wreszcie ją wynajdą. Znalazłszy się, krążą jedno za drugiem w kółko, przyczem samica zawsze jast pierwsza. Samica skacze pierwsza na samca, poczem jednak z niesłychaną szybkością skacze samiec i w chwili spółkowania wyrywa samicy przedniemi łapkami turzycę z boków.

Gdy takie gody inne zające zauważą, biegną do wesela całą siłą i tam, wedle możności, korzystają z nadażonej sposobności. Przy takiem zbiegowisku zajęczem, odbywają się nieraz pocieszne sceny, żeby jednak mieć o nich pojęcie, potrzeba takie wesele koniecznie widzieć. Nieraz biją się zające po prostu po gębach i to w postawie stojącej, a tak seryo, że się aż turzyca sypie.

Co do pory dnia, to najczęściej odbywają się parkoty rankiem i pod wieczór.

Podczas zalotów mruczy samica charakterystycznie. Pomruk ten słychać dosyć daleko. Samiec zaś wydaje głos warkliwy, który myśliwi zowią „muskaniem". Gdzie jest dużo zajęcy, tam za jedną samicą

NA ROJSTACH LITEWSKICH.

(Dalszy ciąg).

Cóż to za różnica z polowaniem w Królestwie, gdzie w podobnych chwilach miałem na zawołanie bryczkę, którą w kwadrans można było stanąć w domu, gdzie czekało wyborne łóżko i gorąca herbata! Tu liczyć mogłem jedynie na swoje siły i spodziewać się, że opuchnięte nogi doniosą mnie do szopy, gdzie znajdę swoje posłanie z siana i kieliszek wódki.

Silna to musi być namiętność, którą okupywać trzeba takim trudem i wysiłkami, a która przecież budzi się zawsze świeża i niegaszona. Sądzić jej, jak wszelkich ludzkich słabości, miarą zdrowego rozsądku, niepodobna. Inaczej, w jakiemże świetle przedstawiłby się myśliwy, który w zimny, mglisty dzień rzuca wygodny fotel i ciepły kominek po to, żeby, brodząc dzień cały po błotach i bagnach, gdzie zdrowie zawsze, a czasami życie narażać trzeba, zabić parę kaczek albo bekasów, których wartość nie opłaca nawet wystrzelanej amunicyi. Zamiast spodziewanych łupów, myśliwy przynosi nieraz reumatyzm i zapalenie płuc, wieczorem wraca bez duszy od zmęczenia, a jednak nazajutrz gotów znowu rozpocząć pełen nowych sił i nigdy niegasnącej nadziei, bo zawsze pcha go naprzód ta sama, wiecznie gorąca żądza wrażeń i przestrzeni.

Każdy z nas nosi w sobie ukrytą, mniej lub więcej głęboką chętkę nadzwyczajnych wrażeń i przygód. Czy to jest zabytek stanu pierwotnego, z czasów, w których życie zdobywać trzeba było w bezpośredniej walce z naturą, tlejący, jak iskra, stłumiona popiołem cywilizacyi — czy też naturalny zwrot ludzkości ku warunkom prostszym i zdrowszym, jakie znaleźć można jedynie w zetknięciu z przyrodą? Nie wiem! Dość, że każdy, najwięcej nawet zniewieściały człowiek, czuje potrzebę odpoczynku na łonie tej pierwszej matki — natury. Ludzkość spostrzegła się, bodaj czy nie zapóźno, że zadługo zaniedbywano ciała, duszę jedynie pielęgnując, i spieszy teraz gorączkowo naprawić błąd, który odbijać się począł srodze na naszym rozwoju fizycznym i na naszem zdrowiu. Pierwsza ruszyła w tym kierunku, cywilizowana Anglia; za nią rwały więzy rutyny Francya, Niemcy i t. d. I odtąd mnożą się po szerokim świecie kluby i stowarzyszenia, rozwój sił i ciała mające na celu.

Wybrani tego świata, podróżują po dalekich krajach, żeglują po morzu i pną się po górach; mniej szczęśliwi wiosłują i gimnastykują się, byle wyprostować zakrzepłe członki i zaczerpnąć świeżego powietrza opleśniałemi płucami. Powodzenie, jakiego doznaje wszędzie rower, ten demokratyczny sport, najdobitniej wykazuje potrzeby cywilizowanego świata. Z zapałem przyjęto nowego gościa i ludzkość zgarbio-

4 i 5 samców biega, w następstwie czego, z umęczenia pada nieraz samica ofiarą. Podczas godów samce są tak zacietrzewione, że nawet po śmierci skaczą po samicy i odrapują jej boki z turzycy do nagiej skóry. Na nagiej skórze pozostają po pazurach sine, krwią nabiegle ślady.

Samica chodzi z płodem 30 do 31 dni, parkoci się jednak wśród tego okresu bez przerwy. Skutkiem tych nieokreślonych parkotów przytrafia się, że samica ma dwie lub nawet trzy generacye młodych w żywocie. W 1901 roku, dnia 5-go stycznia, przy sekcyi przekonałem się o potrójnej generacyi młodych w macicy. Pierwsza generacya była $^2/_5$ naturalnej wielkości płodu bezpośrednio przed okoceniem, zupełnie jednak zwapniała; druga, wielkości orzecha włoskiego, również zwapniała; trzecia generacya była wielkości bobu i znajdowała się w stanie normalnym. Każda partya złożona była z dwóch młodych. Czy ostatnio zawiązane, dwa młode byłyby doszły do zupełnego rozwoju, to pytanie nie rozwiązane.

Pierwszy ląg, złożony z 1 lub 2 młodych, przypada zwykle, jak u nas, na marzec. Bezpośrednio po lęgu, parkoci się samica i zapładnia powtórnie, więc drugi ląg, złożony z 3 lub 4 zajączków, przypada na maj; trzeci, złożony również z 3 do 4 młodych, przypada na lipiec, a czwarty i zwyczajnie ostatni, złożony z 1 lub 2, czasem nawet 3 młodych, przypada na wrzesień.

Jeżeli pierwszy ląg odbył się wcześniej, to następne odbywają się również stosunkowo wcześniej. W pogodny, ciepły czas parkocą się zające nawet w październiku. Samice jednak, które kocą się w zimie, zwyczajnie po okoceniu się, giną. Pierwsze wczesne młode, mogą mieć jeszcze tego samego roku jedno pokolenie zajęcze.

Zające, parkocąc się cztery razy do roku, rozmnażają się bardzo licznie i gdyby nie przypadłości, którym podlegają, w krótkim czasie nadmiernie rozpowszechniłyby się mogły.

W czasie parkotów może się samiec lub samica oddalić na jakiś czas z miejscowości zajmowanej, samica wraca jednak zawsze na czas kocenia się do dawnego miejsca i tylko młode samce, przez stare od samic odbijane, wynoszą się raz na zawsze; zdarza się to jednak tylko tam, gdzie jest bardzo dużo zajęcy.

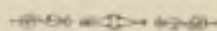
Badania wykazały, że zające rodzą się przeważnie rodzaju męskiego, niemal trzy czwarte samców, a jedna czwarta samic.

Gdy nadchodzi czas lęgu, samica wyszukuje sobie suchego miejsca w zbożu, w kupce trawy, pod kupką nawozu, w krzaku i t. p., tam wygrzebuje okrągławą, większą, niż zwyczajnie, kotlinę i wyściela ją trawą, a nawet własną turzycą. Młode, chociaż nieporadne, są jednak zupełnie wykształcone i widzą. Uszy mają na boki zwieszone, czyli oklapłe. Drugiego dnia przybierają uszy normalne położenie.

Ubarwienie młodych jest na grzbiecie nieco jaśniejsze, zresztą okrycie, czyli turzyca normalna; tylko na czole mają białą podłużną kreskę, która w pierwszym roku życia, osobliwie u samic, czasem pozostaje.

Samica zatrzymuje się przy młodych dzień lub dwa, w którym to czasie młode, ssąc, żywią się wyłącznie jej mlekiem. Następnie oddala się samica od młodych coraz częściej i coraz na dłużej, aby się ponownie zapłodnić. Tymczasem młode, zmuszone koniecznością, wyszukują sobie pożywienia i same się żywią. Samica po dłuższej nieobecności, aby się uwolnić od parcia napływającego mleka, wraca do młodych, a gdy ich nie zastanie, klapie charakterystycznie słuchami, co młode przywabia. Wśród dnia siedzą młode w kotlinie, samica zwyczajnie opodal się układa i podchodzi do nich dopiero wieczorem.

(D. c. n.).



MIĘKKOPIÓR,

czyli kaczka edredonowa.

Na północ wysunięte części Europy, Azyi i Ameryki zamieszkuje kilka gatunków miękkopióra, czyli kaczki edredonowej, której nadzwyczaj delikatny i lekki puch tak jest ceniony w kuśnierstwie. Jeden z tych gatunków, a mianowicie miękkopiór zwyczajny *(Somateria mollissima)*, w swych wędrówkach zimowych posuwa się niekiedy dość znacznie na południe i zalatuje nawet niekiedy do naszego kraju, czego dowodem są dwa egzemplarze, z których jeden, zabity

---

na, połamana i niezgrabna, przebiera nogami, szukając ruchu i przestrzeni. Niezaprzeczenie gra tu znaczną rolę moda i chęć naśladownictwa, ale niezmierne uznanie, jakiem cieszy się kołowy sport, dowodzi, że potrzebnym był tani, łatwy sposób zbliżenia się z naturą i powietrzem, sposób codzienny i przystępny dla każdego. Nikt chyba, znając stosunki, w jakich żyć trzeba w wielkich miastach, nie zaprzeczy prawdziwości tych słów, ani wielkiego znaczenia, jakie mają w naszym wieku wszelkie ćwiczenia cielesne i sporty. Bądź co bądź są one tylko bodźcem do emulacyi i zachętą, bo samą treścią jest potrzeba zdrowia i sił, które znaleźć można tylko w bezpośredniem a częstem przestawaniu z przyrodą. Tam powietrze, tam słońce, tam sen i zdrowie.

Najdawniejszym, najwięcej rozpowszechnionym i lubionym sportem było po wszystkie czasy, aż w najgłębsze, przedhistoryczne sięgając, myślistwo. Jaskiniowy nasz przodek jadł mięso i odziewał się skórą zabitych przez siebie, zwierząt. Starożytni czcili polowanie w osobie jednej z najnadobniejszych bogiń, Dyany, przyznając jej najcenniejsze przymioty, wdzięk i siłę. Wreszcie chrześciaństwo wyróżniło łowiectwo, oddając je pod opiekę wyłączną jednego ze świętych, naszego patrona, św. Huberta. Mijały wieki, zmieniały się pokolenia i obyczaje, a ludzie polowali, zawsze stawiając łowiectwo w rzędzie najprzedniejszych rozrywek, właściwych nawet królom i stanowi rycerskiemu.

Dzisiaj, choć zmieniły się czasy, choć wytrzebiono lasy i wytępiono grubszą, szlachetniejszą zwierzynę, za którą uganiali się nasi ojcowie, polowanie nie przestaje kwitnąć i po dawnemu biją żywiej serca na trąbkę w knieci albo na widok ściągającego legawca.

Od każdego sportu wymagamy wogóle ruchu i pewnej ilości wrażeń. Sport, w którym ruch jest jednostajnym, a ilość wrażeń odbieranych, nieznaczną, jest sportem monotonnym i nudnym. Odwrotnie, rozmaitość dokonywanych ruchów i duża ilość wrażeń, robią sport zajmującym i zabawnym. Niezaprzeczenie pierwsze miejsce należy się pod tym względem myślistwu. Rozmaitość terenu, po którym myśliwy szuka zwierzyny, zmienność pogody, coraz to inne krajobrazy — oto pierwsze przyczyny, dla których polowanie nie bywa nigdy nudnem. Co się tyczy wrażeń, to niezmierna ich ilość, następujących szybko jedne po drugich, coraz nowych i przykuwających całą uwagę, stanowi właśnie główny powab polowania. W kniei i na polu żyjemy prędzej, goręcej; wszystkie nasze władze umysłowe i fizyczne równocześnie wchodzą w działanie. Myśl, uwaga, wszystkie zmysły działają razem, zaostrzone tą samą namiętnością, która nas pcha naprzód przez bagna i zarośla, niepomnych na trud, a często na niebezpieczeństwa. I dziwna, niezrozumiała rzecz! Właśnie te trudy i niebezpieczeństwa stanowią jeden z głównych uroków, najsilniejszą zachętę polowania.

Znaną jest powszechnie namiętność, z jaką polu-

w 1830 r. w gubernii płockiej, znajduje się w zbiorach Warszawskiego Gabinetu Zoologicznego, a drugi poległ w marcu 1880 r. pod Nieszawą. Na zasadzie tych dwóch okazów, znakomity nasz ornitolog, ś. p. Taczanowski, wciągnął go do fauny krajowej i w dziele swem p. t. „Ptaki Krajowe“--pomieścił.

Znalazłszy w jednym z tegorocznych zeszytów czasopisma „La Chasse Illustrée“, bardzo szczegółowy i niewątpliwie wiarogodny opis zwyczajów tego ptaka oraz sposobów polowania na niego, uważamy za stosowne podać go tu w całości jako mogący zainteresować zarówno myśliwych, jak i osoby postronne. Autorem tej pracy jest p. H. de Puyjalon, *attaché* Oddziału rybołówstwa i myślistwa w Québec (Kanada).

Miękkopiór—mówi p. de Puyjalon -- którego nasi rybacy nazywają *Moniac*—spotyka się jeszcze w obfitości na północnych brzegach zatoki S-go Wawrzyńca, gdzie przed dwudziestu laty widywałem go w ilościach, przekraczających najbujniejszą imaginacyę. Tępienie jaj pociągnęło za sobą zmniejszenie się tych ilości w stosunku bardzo niepokojącym; dość jednak zaprowadzić staranną ochronę, aby liczba ptaków wzrosła znów do dawnych rozmiarów.

Kraj nasz zamieszkują trzy gatunki miękkopióra, a mianowicie: miękkopiór zwyczajny *(Somateria mollissima)*, miękkopiór wybitny *(S. spectabilis)* i miękkopiór północny *(S. borealis)*. Pierwszy z tych gatunków należy do osiadłych, gdy dwa inne spotykają się u nas jedynie na przelotach wiosennych, jesiennych i zimą.

Miękkopiór zwyczajny jest to ptak wspaniały, wielkości mniej więcej kaczki indyjskiej, czyli koralowej. Samiec ma głowę i część płaszcza po barki koloru kremowo-białego, niekiedy różowego, resztę zaś ciała aksamitno-czarną. Wierzch i policzki są pociągnięte bardzo delikatnym, zielonym kolorem; tęcza-brunatna. Dziób—obciągnięty przy nasadzie mięsistą błoną, koloru pomarańczowego, zachodzącą aż do policzków,—jest zielonkawy, równie jak i nogi. Samica jest nieco mniejsza od samca, barwy szaro-brunatnej z plamami rdzawemi. Pierwszy jej ląg zawiera 8 jaj. Jeśli to pierwsze zniesienie zostanie zniszczone, co zresztą zdarza się bardzo często, samica niesie powtórnie, ale już tylko 4 do 5 jaj. Jeśli i ten ląg ulegnie zagładzie, ptak znosi jaja po raz trzeci, lecz już tylko w liczbie dwóch lub najwyżej trzech. Trudno jest, w samej rzeczy, o więcej dobrej woli. Na nieszczęście dla tych ptaków, jaja ich, wielkości jaj indyczych, o skorupie gładkiej koloru zielonkawego, niekiedy z brunatnym nalotem, mają smak wyśmienity i są bardzo poszukiwane w Stanach Zjednoczonych, gdzie oprócz użytkowania ich w celach kulinarnych, mają zastosowanie w przemyśle. Wskutek tego rabunkowe i rok rocznie powtarzane niszczenie ich przybiera niebywałe rozmiary. Przypominam sobie, żem widział w 1880 roku, ku wielkiemu memu i jałowemu zgorszeniu, jedenaście bark amerykańskich, pojemności 30 do 40 tonn każda, naładowanych jajami mew i kaczek na wyspach i wysepkach Bluff, w pobliżu Labradoru Kanadyjskiego. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że każdy z tych statków wiózł 250 do 300 beczek i że każda beczka mieściła w sobie 50 tuzinów jaj, to będziemy mieli pojęcie o liczbie jaj zniszczonych.

Dawniej samica miękkopióra robiła swe gniazdo na skalistych gzemsach wysepek, gdzie rosną niebieskie irysy i rośliny baldaszkowe, zwane „bersami“ *(berces)*. Gniazdo wyściełała cienką warstwą puchu, a po zniesieniu jaj przykrywała je grubą warstwą w razie, gdy się od gniazda musiała oddalić. Obecnie rzeczy mają się inaczej. Większość samic niesie się w pośród nieprzebytych gąszczy, utworzonych ze smolistych i karłowatych krzaków, otaczających pobrzeże w wielu miejscach; niektóre zaś posuwają swą ostrożność tak daleko, że wynoszą się aż nad brzegi słodkich jezior w niewielkiej odległości od pobrzeża. Tak np. w roku zeszłym znalazłem całą kolonię tych ptaków nad brzegami jeziora Washeecootai o 8 kilometrów od brzegu morskiego. Jedynie młode, po raz pierwszy niosące się ptaki, są tyle nieostrożne, że budują swe gniazda na dawnych miejscach lęgowych; lecz i te wkrótce się ztąd wynoszą, zrażone natręctwem ludzi.

Fakt, powyżej przytoczony, powinien tem więcej zwrócić uwagę myśliwych i hodowców, interesujących się zmianami, jakie kontakt człowieka sprowadza w obyczajach niektórych zwierząt, że ptak w mowie będący, karmił się i karmi wyłącznie na morzu. W ciągu lat 25, to jest od czasu, jak polują w Labradorze Kanadyjskim, dokąd mnie wzywają moje obowiązki, mogłem zauważyć, że ptak ten nie jest jedynym gatunkiem, który zmienił sposób gnieżdżenia się. Niektóre mewy pod wpływem tych samych przyczyn, po-

---

ją górale na kozice; ojciec, podarty w kawały w przepaści, albo zasypany na wieki lawiną, zostawia ją w spóściźnie synowi, który rusza w góry, niebaczny na niebezpieczeństwa, czyhające na każdym kroku w postaci zawrotu głowy na karkołomnej ścieżce, śnieżyc, huczących na stokach, albo kuli strażnika. Ginie i syn pod godłem pięknej Dyany, a wnuk prowadzi dalej zgubne rzemiosło...

Tak rozmyślałem na miękkim mchu litewskiego rojstu i nie zważałem, jak słońce schowało się za bory i na ziemię, rozgrzaną dziennym upałem, zapadać począł chłodny wieczór. Myśl, że trzeba się będzie podnieść i chodzić, odpędzałem od siebie, jak natrętnego komara. Przewróciłem się tylko na bok, wpatrując się w ciemne lasy na widnokręgu, tonące w półcieniu wieczornej godziny, i podparłszy głowę na ręku, myślałem ze zdziwieniem prawie, że na tym samym świecie, na którym ta cisza, są gdzieś dalej za lasami i bagnami wielkie miasta z ich tramwajami i elektrycznością; fabryki, zatruwające ludzi dymem i węglem. Sam sobie wydałem się innym człowiekiem w tem otoczeniu ciszy i spokoju. W głowie czułem tę słodką bezwładność, jaka opanowywa człowieka po silnych wstrząśnieniach nerwowych i po zmęczeniu fizycznem.

Zdaleka, jakby z pod ziemi, doleciało mnie głuche „Hop-hoop!“ starego Jana. Rozbudziłem się z zamyślenia i, nie chcąc narażać poczciwego starego na próżne wołanie, odkrzyknąłem z całych płuc.

Po dziesięciu minutach nawoływania zobaczyłem ich, jak wlekli się przez rojst, nogi ledwie pociągając. Byli obadwaj w najgorszym humorze, bo trafili na resztę rozbitego stada pardw i strzeliwszy kilkanaście razy, zabili jedną tylko sztukę. Widząc, jak są pomęczeni, zaproponowałem krótki spoczynek. Doświadczony jednak Jan, oparł się temu stanowczo, nie chcąc czekać nocy, bo do naszego obozu było daleko, przeszło dwie wiorsty drogi przez rojst, po którym i we dnie nie łatwo było chodzić.

Zaczął się więc odwrót, gęsiego za Janem, otwierającym pochód. Był to najfatalniejszy kawał drogi, jaki zrobiłem w życiu całem.

Jeśli rojst za dnia jest terenem niewygodnym i trudnym, to w nocy wydał mi się on istnem piekłem. Co chwila potykałem się o leżące w mchu, sęki i gałęzi, rozbijając obrzękłe i zbolałe nogi. To nieustanne chwytanie uciekającej równowagi, utrudnione jeszcze grząskim torfem, po którym prowadziła ta dantejska droga, było nad moje siły i wstyd tylko wstrzymywał mnie od kategorycznego oświadczenia mym towarzyszom, że wolę nocować w lesie, niż wracać po takiej drodze do domu.

(D. c. n.).

rzuciły w części dawne swe miejsca lęgowe, jak np. mewa srebrzysta *(Larus argentatus)* i mewa delawarska *(Larus delawarensis)*, które budują swe gniazda na czubkach spinetów na wyspach archipelagu Mingan i Eskimosów.

Nurzyki *(Uria troile)* i pingwiny *(Alca torda)*, które niosły ongi jedyne swe jajo na gołych skałach, kryją się teraz po nierównościach skalistych, lub w pośród gęstych odłamów kamiennych, nagromadzonych przez lody na pobrzeżach morskich.

Samiec miękkopióra, któremu niektórzy autorowie przypisywali prawdziwie mężowskie i ojcowskie przywiązanie, nie bierze bynajmniej udziału ani w budowie gniazda, ani w wysiadywaniu jaj, a tem mniej jeszcze w prowadzeniu i wychowaniu młodych. Trzyma się w bliskości samicy tylko pótąd, pokąd ona potrzebuje go jako reproduktora. Skoro zaś tylko rozpocznie się wysiadywanie jaj, samiec znika, a złączywszy się z innemi, tworzy stada z 50 do 100 sztuk, które widzieć można przelatujące wzdłuż wybrzeży w wyciągniętym szeregu, dzikie i niedostępne dla myśliwego.

Samica jest natomiast matką, pełną poświęcenia i przewidującą, mimo swego pozoru ciężkiego i niemal naiwnego. Jaja wysiaduje w ciągu mniej więcej 25-iu dni. Młode po wykluciu obsychają w gnieździe jeden lub dwa dni, poczem wynoszą się do morza już to o własnych siłach, na piechotę, jużto przy pomocy matki, która je przenosi, gdy tego potrzeba zachodzi. Od samego początku pływają one i nurkują znakomicie, mimo ich wzrost mały. W zwykłym czasie trzymają się one zgrupowane tuż za matką, dotykając jej prawie. Gdy tylko grozi niebezpieczeństwo, stadko ucieka, nie zmieniając swego układu, lecz skoro tylko niebezpieczeństwo staje się bezpośredniem, matka wydaje krzyk gardłowy, zanurza się, a kaczęta w jednej chwili idą za jej przykładem, rozsypując się na wszystkie strony.

Młode jednak są wystawione na tyle niebezpieczeństw, że czasami jedna samica nie wystarcza do ich ochrony, i dlatego to widzi się od lat kilku, że pewna ilość samic łączy się, aby wspólnie czuwać nad bezpieczeństwem swego potomstwa, które w dzisiejszych czasach składa się zwykle z dwóch lub trzech, a rzadziej z czterech lub pięciu młodych. To łączenie się pozwala im przedewszystkiem chronić młode od ataków mewy czarno-pleczej *(Larus marinus)*, która korzysta z rozbicia się stadka przy nurkowaniu i chwyta młode w chwili, gdy się te na powierzchni wody ukazują.

Niekiedy widzi się do pięciu samic, w ten sposób złączonych. Gdy takie stado znajdzie się w niebezpieczeństwie, np. wobec myśliwego w łodzi, wówczas dwie samice oddzielają się od reszty i lecą z dwóch różnych stron na łódkę, zanurzając się co chwila na krótko pod wodą, dzięki czemu unikają do pewnego stopnia strzałów nieprzyjacielskich. Gdy w ten sposób oba nieszczęsne stworzenia z narażeniem własnego życia, odwracają uwagę myśliwych, reszta samic, zgrupowawszy w koło siebie młodzież, uprowadza ją z niebywałą szybkością, przyczem ptaki prują falę pomimo najsilniejszego wiatru i najbardziej wzburzonego morza. Jeśli wtedy zjawi się mewa z zamiarem złowienia którego z małych, wówczas jedna z samic oddziela się od stada i silnemi uderzeniami swego potężnego dzioba, zmusza drapieżnika do ucieczki.

(*Dok. nast.*).

Polowanie na ptactwo wodne w Hiszpanii.

P. Jacinto Gil de Avalle opisuje w następujący sposób polowanie na kaczki i inne ptactwo wodne w Hiszpanii.

Mam zamiar dać czytelnikom opis polowania na ptactwo wodne w naszym kraju, a osobliwie w okolicach Walencyi. Mówię dlatego ptactwo wodne, gdyż znajdujemy tutaj uhle, kurki wodne, kszyki, czaple i najrozmaitsze gatunki kaczek, poczynając od cyranki, a kończąc na krzyżówce.

Polowania te mają w sobie tę ciekawą stronę, że się odbywają na polach uprawnych, zamienionych chwilowo na sztuczne jeziora w celach nawodnienia, a nie na stawach naturalnych. Skoro tylko pola ryżowe zostaną uprzątnięte, zalewa się je wodą bieżącą w ilości, niezbędnej do ich uprawy. Żądany poziom utrzymuje się z łatwością przy pomocy śluz, zamykających lub otwierających komunikacyę z morzem. Miejscami zalew ten pokrywa drogi, ścieżki i granice pola. Różnica poziomu wody stosownie do konfiguracyi gruntu, waha się między 60 centymetrami a 2 metrami. Wskutek tego można tu pływać tylko w łódkach specyalnych, mających małe zagłębienia pod wodą. Jeden wioślarz popycha łódkę przy pomocy rozwidlonej na końcu, tyki.

Stanowiska sprzedaje się, a raczej wydzierżawia z roku na rok, przez publiczną licytacyę. Władze municypalne przewodniczą tym licytacyom. Po zapłaceniu stróżów polowych i pokryciu różnych innych wydatków, pozostaje zawsze nadwyżka, którą się obraca na wsparcie dla szpitali lub na utrzymanie dróg.

Różnorodność głębiny wody sprawia, że trzymają się tu najrozmaitsze gatunki ptactwa, gdyż każdy z nich szuka pożywienia tam, gdzie mu jest najdogodniej. W czasie żęcia, przewożenia i młócenia ryżu traci go się znaczny procent i to stanowi przynętę dla całej rzeszy ptaków, które tu znajdują doskonałe żerowiska. W tem właśnie leży cała przewaga stawów sztucznych nad naturalnemi. Nie wyklucza to bynajmniej, że niektóre ptaki karmią się robakami i trawami; szczególniej te ostatnie rosną tu obficie, dzięki intensywnej uprawie nawozami sztucznemi.

Ażeby uniknąć kołysania, które mogłoby utrudnić strzelanie z łódki, myśliwi używają beczek drewnianych lub cynkowych, przymocowanych do dna za pomocą tyk, głęboko osadzonych w gruncie, co zapobiega wszelkiemu kołysaniu. Beczki te wystają ponad wodą nie więcej, jak na 60 cent. Zbytecznem jest chyba dodawać, że muszą być one doskonale opatrzone, aby woda nie mogła się dostać wewnątrz. Jedynem umeblowaniem takiej beczki jest ławeczka. Obok znajduje się miejsce na broń i amunicyę.

Na zewnątrz beczki te są okryte trzciną, aby je uczynić podobnemi do kęp tej rośliny, obficie tutaj spotykanej.

Myśliwy zaopatrzony jest zwykle w dwie strzelby, zdarza się bowiem nieraz wystrzelić 600 ładunków w ciągu 12 godzin, więc przy jednej broni, lufy zbytnioby się nagrzewały; a w dodatku należy zawsze przewidywać popsucie się broni, a wtedy myśliwy znalazłby się w przykrem położeniu, które każdy łatwo zrozumie.

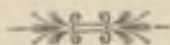
Polowania te odbywają się na terenach trzech sąsiadujących z sobą, miasteczek: Sueca, Cullera i Sollana, obejmujących 40,000 *hanegadas*, czyli mniej więcej 6,400 hektarów (około 13.000 mórg). Wydzierżawienie 128 stanowisk daje rocznie średnio 70,000 *pecetas* (*peceta* równa się frankowi). Na tych 128 stanowiskach poluje, bez przesady bynajmniej, 640 myśliwych. Podaję wam te cyfry, abyście mieli pojęcie o doniosłości opisywanych przezemnie, polowań.

Liczę, że w roku bieżącym pierwszego dnia zabito 15,000 sztuk zwierzyny; drugiego powyżej 10,000; trzeciego powyżej 5,000; a według wszelkiego prawdopodobieństwa przez cztery ostatnie dni padło po 2,000 dziennie średnio. Tym sposobem śmiało można liczyć, że przez 7 dni wystrzelono 200,000 ładunków. Mogę powiedzieć o samym sobie, że pierwszego dnia na jednem dobrem stanowisku wystrzeliłem 507 ładunków, a niejednokrotnie zdarzyło mi się przez 7 dni wystrzelić powyżej 1,000 ładunków. Muszę też nadmie-

nić, że stanowiska nie są corocznie jednakowo dobre i że przy licytacyi niezawsze myśliwy utrzymuje się na tem samem stanowisku. Polowania odbywają się pomiędzy 15 listopada a 17 stycznia.

Zalany teren, podzielony jest na 128 działek, a w każdej z nich oznaczone jest miejsce, gdzie się ma ulokować beczki. Regułą jest, że muszą one być umieszczone w pewnej linii i nie więcej jak, o 25 metrów od miejsca oznaczonego. Władze municypalne oznaczają dzień na umieszczanie beczek, a potem wzbronionem jest absolutnie jeździć po stawie, a tem mniej strzelać na nim; nawet zbliżać się jest niewolno. Te środki ostrożności są przedsiębrane w celu, aby zwierzyna miała zapewniony spokój z chwilą rozpoczęcia przelotów, która zwykle wypada na 15 września. W tych warunkach ptactwo, znalazłszy doskonałe żerowiska, zatrzymuje się tutaj. Zwierzyna, jak to powiedziałem, nalatywać zaczyna około 15-go września i nalot ten trwa ciągle, a jest tem obfitszy, im zima jest surowsza, prawdopodobnie dlatego, że na północy, gdzie ptaki te się lęgą, wody zamarzają, co je zmusza do emigrowania na południe. Zaraz po przybyciu, zapewne wskutek długotrwałej podróży, są one bardzo chude; lecz po krótkim czasie upasają się w sposób nadzwyczajny.

(Dok. nast.)



TĘPIENIE WILKÓW.

Rok ubiegły przyniósł nam obfite... wiadomości o wilkach. Szczególnie interesującą była wiadomość o pojawieniu się wilków w dobrach Jadowskich, pod Łochowem, będących własnością Zdzisława hr. Zamoyskiego, zaledwie o 40 wiorst odległych od Warszawy. Szanowni nasi korespondenci, donosząc o zjawieniu się tych szkodników i niefortunnych rezultatach obław, na nie urządzanych, zwrócili się w tych korespondencyach do kolegów-myśliwych, doświadczonych w polowaniu i tępieniu wilków, a zwanych po myśliwsku „wilczarzami“, z prośbą o udzielenie wskazówek, jakby można tym szkodnikom skutecznie zalać sadła za skórę. „Kuryer Warszawski“ przedrukował nasze korespondencye i zanim nadeszły do nas żądane odpowiedzi, już w skrzynce do listów „Kuryera Warszawskiego“ znalazł się list p. Józefa hr. Dunin-Karwickiego (seniora), który

> „uważając „Kuryer Warszawski“ za najpoczytniejsze pismo w kraju, jako jeden z ostatnich, dawnych myśliwych wołyńskich, u którego przed 30-tu jeszcze laty padało jednej jesieni w Mrzeczu i jego okolicy po 44 i więcej wilków, odwabionych z sieciami“,

uznał za stosowne właśnie w tem piśmie, a nie w „Łowcu Polskim“, dać odpowiedź naszym korespondentom.

Z obawy, aby nasi szanowni korespondenci, nieprenumerujący „Kuryera Warszawskiego“, nie byli pozbawieni możności zapoznania się z opinią dzielnego i wytrawnego myśliwego w kwestyi tak specyalnej, jak tępienie wilków, postanowiliśmy streścić głos p. Józefa hr. Dunin-Karwickiego (seniora).

Niestety, brzmi on bardzo pesymistycznie i na czytelników najpoczytniejszego pisma, z przedmiotem nieobeznanych, może zrobić przykre wrażenie i wzniecić obawę, że dzisiejsi myśliwi już sobie z wilkami nie poradzą.

Pora do polowania na wilki—pisze hr. Dunin-Karwicki—była nieodpowiednio wybrana; tylko koniec lata i początek jesieni — od 28 sierpnia do 21 września— nadaje się do tego rodzaju polowań, wtedy bowiem wilki trzymają się jeszcze gniazda i łatwo je odwabić.

> „Lecz do tego — objaśnia hr. Dunin-Karwicki — należy mieć doświadczonych myśliwych do wabienia, osobno na samce, osobno na sukę, a osobno na odgryzające się i skomlące z głodu szczenięta; mieć zdatnych ludzi na podsłuchy pod lasem, a szczególnie posiadać znaczny zapas sieci, czyli parkanów sznurkowych z mocnej przędzy, wyższych, niż sążeń, na kilkowiorstową długość dla otoczenia niemi całej rozległej knieci. Rzecz to bardzo droga; dostawała się nam zwykle w spuściźnie po ojcach, gustujących dawniej bardzo w wilczych polowaniach. Wszystkie więc sieci, mające conajmniej 6 — 7 wiorst długości, zgorzały niestety, w czasie groźnego pożaru dworu mrzockiego w listopadzie 1893 roku. Wątpię bardzo, abym kiedy wrócił do dawnej myśliwskiej zamożności. Najbardziej zaś należy samemu znać się na podobnem polowaniu, mieć niezbędne w tem doświadczenie, zamiłowanie, cierpliwość i wytrwałość. Taka bowiem jedna wyprawa myśliwska niemało kosztuje; przygotowania do niej trwają kilka dni, a raczej kilka nocy i wymagają zmobilizowania conajmniej kilkuset ludzi. Ileż ja razy jeździłem sam w nocy na podsłuchy, przy ostatecznem odwabianiu się wilków!“

Ponowa— jak twierdzi autor listu, który cytujemy — nic nie znaczy, jakkolwiek pisze bezpośrednio po tem, że i polowania na śniegu udawały się, gdy niespodzianie dano znać, że najedzone wilki zaległy w jakimś niewielkim lasku. Wówczas to

> „kierując się umiejętnie po śniegu, wychodzącemi tropami i stawiając myśliwych pod wiatr, często się nam udawało kilka sztuk tych szkodników powalić, naturalnie ze ślicznemi zimowemi futrami, zdatnemi na piękne wilczury. Ale była to wyjątkowa sztuka i umiejętność mego niezrównanego łowczego, p. Franciszka Bartoszewskiego, któremu niegdyś tyle tryumfów myśliwskich zawdzięczałem. Sam on jednak odpowiadał za sukces całego polowania wtedy tylko, gdy całe gniazdo wilcze, w czasie wczesnej jesieni, było po czarnej stopie wytropione, odwabione i sieciami otoczone“.

Dalej szanowny autor listu dworuje sobie z owych wilków, gospodarujących po chłopskich kobiałkach z zapasami żywności, i niesłusznie w najpoczytniejszem piśmie podaje niejako w wątpliwość prawdę słów naszego korespondenta, który prawdziwość podanych faktów stwierdził własnym podpisem. Są rzeczy, o których się filozofom nie śniło, więc i najdzielniejszemu „wilczarzowi“ mogło się nie zdarzyć widzieć na własne oczy wilka, wyjadającego zapasy żywności ze stojącego na pustkowiu, wyprzężonego wozu. Niemniej jednak mniemane nieprawdopodobieństwo nie wyklucza w danym wypadku prawdziwości zdarzenia, w którem szanowny autor listu niesłusznie widzi „łacinę myśliwską“.

Wreszcie autor listu krytykuje, przeważnie na domysł, urządzenie polowania na owe szkodniki, które skończyło się „klapą“, i kończy w ten sposób:

> „Zresztą knieja była otoczona sieciami dla dobijania wilków, wymykających się przez linię strzelców, lub ranionych i kryjących się po krzakach. Powtarzam więc, że oczekiwana ponowa nie wiele tu pomoże“.
>
> „Umiejętne polowanie na wilki to osobna sztuka, niejako artyzm, oparty na doskonałej znajomości natury i zwyczajów zwierza. Wszystko to u nas z roku na rok coraz bardziej zanika, co prawda dla samych prawie wilków. A jednak szkoda!— Dużo w mem życiu polowałem; do żadnego zwierza nie strzelałem z taką pasyą, jak do wymykającego się z kniei starego wilka szkodnika. Błysk jego zielonych ślepi na końcu lufy wprowadzał mnie zawsze w nieopisany entuzyazm myśliwski“.

Oto wszystko, co szanowny autor miał do powiedzenia w sprawie tępienia wilków w najpoczytniejszym organie prasy warszawskiej.

Z listu tego możnaby przyjść do wniosku, że kto nie posiada artyzmu polowania na wilki, nie ma sieci kilkowiorstowych, nie ma do rozporządzenia całej armii wytrawnych strzelców „wilczarzy“, z łowczym, p. Franciszkiem Bartoszewskim, na czele — ten nie ma możności uwolnienia danej okolicy od tak niepożądanych szkodników, jakiemi są wilki. I tu tkwi właśnie ów pesymizm, o którym wspomnieliśmy na początku, a z którym godzić się niepodobna.

Są różne sposoby trapienia tego szkodnika. W Cesarstwie sieci zastąpiono z doskonałym skutkiem sznurami ze straszakami, przy których pomocy t. zw. „pskowicz“ wypędza wilka na dane stanowisko bez zawodu. U nas, wobec braku wilków, specyaliści tacy są zbyteczni, bo zresztą dobrze urządzone obławy zawsze dadzą pożądany rezultat.

To też otrząsnąwszy się z niemiłego wrażenia, jakie nam pozostawia przeczytanie powyższego listu,

podającego w wątpliwość dzielność i wytrwałość całego młodszego pokolenia naszych myśliwych, przejdziemy do środków tępienia wilków, podanych nam przez myśliwych doby bieżącej.

Na czele zamieszczamy obraz wzorowej obławy na wilki, podany nam przez szanownego autora „Wilczej mozajki", p. Konrada Machczyńskiego, który w zacytowanej książce, wyczerpanej zresztą w handlu księgarskim, podaje i inne sposoby polowania na wilki.

W n-rze 23 z r. z. „Łowca Polskiego" były zamieszczone dwie korespondencye, jedna z Łochowa, a druga z Janowa Lubelskiego, o licznem zjawieniu się wilków w lasach Łochowsko-Jadowskich i na Polesiu Wołyńskiem w majątku Warchy.

W drugim z tych listów, p. H. Biesiekierski, opisując obławę z urzędu na wilki w Warchach, która się nie udała, pomimo, że ich tam miało być przeszło 20 sztuk, strzelców 18 i naganiaczy 200, zwraca się z prośbą do weteranów z pod chorągwi Ś-go Huberta, a mianowicie tak zwanych wilczarzy, aby swem doświadczeniem zechcieli fakt ten (niepowodzenia) oświetlić i nie poskąpili swej rady, jak sobie poczynać należy, aby z lepszem powodzeniem można było wypowiedzieć walkę temu chytremu drapieżnikowi.

Należę wprawdzie do weteranów myśliwych, chociaż niespecyalistów wilczarzy, że jednak miałem niejedno spotkanie z wilkami i brałem udział w dobrze urządzonych polowaniach na tego zwierza, dlatego ośmielam się nakreślić parę słów w odpowiedzi na powyższe wezwanie.

Owe wielkie, królewskie i magnackie łowy z sieciami, parkanami, fladrami, czyli straszakami i tysiącami obławników należą już do tradycyi i chyba bardzo mało jest jeszcze tak wielkopańskich dworów, któreby posiadały te kosztowne przyrządy i w tak ogromnej ilości, jak tego zwykle potrzeba; dziś więc można mówić o polowaniach, w których występują tylko sami strzelcy i obławnicy.

Polowanie na wilki z obławą, czy naganką, o jakie właśnie tu chodzi, jest bardzo trudne i połączone z dużemi kosztami. Łatwiejsze nieco wtedy, gdy się je robi na wilki gniazdowe, które nie opuszczają jeszcze kniei, bo przez wabienie i podsłuchy nie trudno przekonać się, gdzie mają gniazdo, czy w niem są, i łatwiej je miotem otoczyć. Trudniejsza sprawa z wilkami przechodniemi, chociaż i te, gdy pokazują się gdzie częściej i w większej ilości, mogą zatrzymać się tam dłużej, w dogodnej dla siebie kniei i obrać w niej czasowe legowisko.

Wilk jest najostrożniejszym i ńajprzebieglejszym z naszych zwierząt drapieżnych. Powonienie, wzrok i słuch ma doskonałe i chyba lepsze od lisa. Podstępny zawsze, tchórz latem i tylko zimą, będąc w gromadzie i przyciśnięty głodem, zdobywa się na rozpaczliwą odwagę, ale za najmniejszą oznaką istotnego niebezpieczeństwa, które na znaczną odległość umie doskonale rozpoznać, wynosi się z kniei zawczasu chyłkiem, przez gąszcze, ukrytemi przesmykami i odrazu ucieka bardzo daleko. Umie on także ukryć się i przyczaić pod wywrotem, korzeniami drzewa, w krzu, jamie lub rowie i wymknąć, gdy go miną niebaczni obławnicy.

Jeżeli więc polowanie z naganką na jakąbądź zwierzynę powinno być należycie urządzone, to tembardziej powodzenie takiego polowania na wilki zależy bezwarunkowo od jego doskonałej organizacyi, która musi być oparta: na dokładnej znajomości przebiegłej natury wilczej, na praktyce i doświadczeniu myśliwskiem, na należytem poznaniu kniei i świadomości o legowisku w niej wilków, na upewnieniu się zawczasu, że są istotnie w tem miejscu, które się dla zrobienia miotu obiera; na wydaniu trafnych, dokładnych i jasnych zarządzeń, na ścisłem i umiejętnem ich przeprowadzeniu i wykonaniu, a wreszcie na zachowaniu na miejscu polowania, spokoju, ciszy i ostrożności, żeby wilków niczem przedwcześnie o niebezpieczeństwie nie ostrzedz i nie spłoszyć.

Niepodobna tu, dla braku miejsca, wymienić szczegółowo to wszystko, na czem polega rozwinięcie i zastosowanie w praktyce zasad powyższych i dlatego musimy poprzestać na kilku wskazówkach główniejszych.

1. Naczelny kierownik i organizator polowania może być tylko jeden, i to myśliwy doświadczony, z tego rodzaju łowami obeznany, przezorny i energiczny. On dobiera sobie pomocników ważniejszych i podrzędnych, wyznacza im czynności i daje dokładne instrukcye. On tylko, po zebraniu wiadomości i choćby po naradzie, wydaje rozporządzenia, których wszyscy słuchać powinni.

2. Na kilka już dni przed polowaniem trzeba pilnować, żeby nikt po kniei nie chodził, nie jeździł, bydła nie przeganiał i t. p., słowem, zostawić ją w zupełnym spokoju, rozumie się, jeżeli już wiadomo, że w niej znajdują się wilki.

3. Na dzień lub dwa przed polowaniem, jego organizator z pomocą człowieka, doskonale obeznanego z miejscowością, powinien cicho objechać i dobrze poznać z zewnątrz całą knieję, oraz zebrać dokładne wiadomości, wymiarkować i jak można najdokładniej sobie określić, gdzie jest legowisko wilków, żeby odpowiednio do tego i miot urządzić.

4. Miot, czyli zakład, powinien być tak duży i jego cztery boki o tyle od objętego niemi legowiska, oddalone, żeby przy obstawieniu ich nie zaniepokoić wilków, ale zarazem tylko tak duży, żeby starczyło strzelców i naganiaczy na dokładne obstawienie tych boków; jeżeli bowiem ludzi nie starczy, to wilki ujdą niezawodnie. Wprawdzie nieraz trudno pogodzić z sobą te dwa względy, ale jest dowiedzionem, że im zakład mniejszy i im lepiej obsadzony, tem powodzenie pewniejsze.

5. Pamiętając o tem, ustanawia się wielkość miotu, obiera linię strzelców przy względzie na kierunek wiatru i wagę zwierza, naprzeciwko niej linię naganiaczy, a oba boki miotu, między któremi ma być pędzenie, pozostają na klamry strzelców i skrzydła naganki. Cztery punkta, na których te linie się schodzą, powinny być widocznie oznaczone, dla ułatwienia oryentowania się. Długości tych wszystkich linij, oraz jak daleko mają zachodzić klamry i skrzydła, trzeba obliczyć, bo od tego zależy konieczna ilość naganiaczy i myśliwych. Wreszcie, wszystkie przesmyki, przełazy wilcze z kniei i do niej trzeba odszukać, zapamiętać i ostrożnie naznaczyć. Zaraz też organizator polowania wyznacza swych pomocników, jednych do rozstawiania naganiaczy na głównej ich linii, a drugich do ustawiania ich na skrzydłach naganki, oraz pomocnika do rozstawienia myśliwych, jeżeli sam tego nie uczyni. Ci pomocnicy powinni także zawczasu dobrze poznać miejscowość i linie, na których mają być czynni, a organizator powinien ich dokładnie poinformować, gdzie każdy z nich, kiedy, co i jak ma zrobić, czego pilnować i przestrzegać. Wszystko to należy przygotować przed polowaniem, żeby w czasie obsadzania miotu uniknąć błąkania się, niepotrzebnego łażenia, zamieszania i hałasu.

6. Wilki zwykle wieczorem wychodzą z kniei na zdobycz, a przededniem do niej wracają, ale mogą też i zupełnie ją opuścić: dlatego w dniu, wyznaczonym na polowanie, wczesnym rankiem człowiek ostrożny, zręczny i doskonale znający się na tropach, powinien jaknajciszej obejść lub konno objechać i otropić knieję w około zaprojektowanego miotu, celem ostatecznego upewnienia się, czy wilki tam są rzeczywiście.

7. Najłatwiej spłoszyć wilki przy obsadzeniu miotu, z powodu licznego zebrania ludzi; potrzeba więc przy tem zachować wszelki porządek, aby utrzymać spokój i ciszę.

Naprzód więc rozstawia się myśliwych, którzy, wysiadłszy z pojazdów na pewną odległość przed swoją linią, w milczeniu dochodzą do niej, zajmują wskazane na niej i na klamrach, stanowiska pod zakryciem, nie mogą poruszać się, palić i rozmawiać, tylko stać najspokojniej. Na przesmykach stawia się najlepszych strzelców. Myśliwi tak powinni być rozstawieni, przy względzie na konfiguracyę gruntu, żeby żaden wilk, przemykający się gąszczami, nie uszedł ich oka i strzału na krótką metę.

Obławnicy, okrążając knieję i pod surowym zakazem przechodzenia przez nią, powinni na oznaczoną godzinę zebrać się w trzy grupy i zatrzymać na miejscach, wskazanych w pewnej odległości przed główną linią naganki i liniami jej skrzydeł. Tam pomocnicy wyznaczeni objaśnią ich, co i jak mają robić, ustawią równolegle do tych linij, w szeregi tak długie, jak one, i tak gęste, żeby wilk nie mógł się między niemi przemknąć, wreszcie ustanowią przewodników i dozorców do prawidłowego prowadzenia naganiaczy i czuwani a nadza-

chowaniem się ich po skrzydłach. Po takiem uporządkowaniu, pomocnicy posuną razem swoje szeregi naprzód, spokojnie i w milczeniu staną na swoich liniach i miot z trzech stron razem otoczą; a że myśliwi są już rozstawieni, zaś końce skrzydeł powinny zetknąć się z klamrami, więc tym sposobem cały miot zostanie jednocześnie zamknięty. Gdyby i tu były przesmyki, trzeba je mocniej obsadzić, albo postawić tam strzelców. Główny naczelnik powinien konno objeżdżać z tyłu linie i czuwać nad porządkiem. Wreszcie dają się sygnały i rozpoczyna pędzenie.

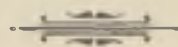
Idzie tylko główna linia, której naganiacze, lekko pokrzykując i uderzając kijami po krzach i drzewach, muszą postępować wolno i prosto naprzód, szeregiem równym, w równych od siebie odległościach, nic nie omijać, nie zbaczać, nie skupiać się, nie zrobić luki i nie przepuścić wilków. Naganiacze na skrzydłach stoją w miejscu i tak samo odpędzają wilki do środka, a dopiero, gdy główna linia przechodzi koło nich, przyłączają się do niej kolejno, jak stoją, i razem już dalej idą.

Wprawdzie to, co powiedzieliśmy wyżej, nie jest dla myśliwych nowością, gdyż tak mniej więcej robią się wszystkie większe polowania z naganką, ale że prawie zawsze popełniają się przy tem różne błędy organiczne lub w wykonaniu szkodliwe, chociaż idzie o mniej baczną i ważną zwierzynę, dlatego przypominaliśmy główniejsze zasady i prawidła urządzania takich polowań, żeby mieć sposobność do położenia szczególnego nacisku na to, co konieczne i jak zrobić, a czego strzedz się należy, kiedy zachodzi potrzeba rozprawienia się z ostrożnemi i drapieżnemi wilkami, oraz, żeby wedle możności uczynić zadość życzeniu korespondenta z Janowa.

Obławy, tak zwane z urzędu, zwłaszcza na wilki, prawie nigdy się nie udają. Zwykle brak im kompetentnej komendy, dobrze obmyślanej organizacyi i dokładnego wykonania rozporządzeń. Zwykle też niema zawczasu zupełnej pewności, czy wilki rzeczywiście są w knieji i w miocie, mioty bywają za wielkie i niedostatecznie obsadzone, naganka niedbale ustawiona i prowadzona. Przy tem wszystkiem bywają jeszcze spory, dużo zamieszania i hałasu, słowem, brak najczęściej obławom warunków, od których powodzenie zależy. Takim też błędom trzeba przypisać i *fiasco*, jakie zrobiło polowanie w Warchach; a musiały one być bardzo liczne, skoro popełniono tak kapitalny i prawie nie do uwierzenia, o jakim sama ta korespondencya przekonywa. Do obsadzenia tak niepraktykowanie ogromnego miotu, bo długiego na milę, który musiał być odpowiednio szeroki, użyto tylko 18 myśliwych i 200 obławników, kiedy do tego byłoby potrzeba setek strzelców i tysięcy naganiaczy! Ten jeden błąd musiał spowodować wiele innych i wystarczył, żeby nie 20, ale choćby 200 wilków mogło spokojnie i bez popłochu, którędy bądź wynieść się z miotu i knieji.

K. Machczyński.

(Dok. nast.).



Z Besarabii.

Ungen, *23 listopada 1903 r.*

Kilka godzin oczekiwać muszę tu na pociąg, idący w stronę Kiszyniowa, korzystam więc z czasu i kreślę mały obrazek polowań besarabskich, dzieląc się z sz. czytelnikami naszego „Łowca Polskiego" przebytemi świeżo wrażeniami ubiegłych dni kilku. Zakątek ten kraju zapewne nie wszystkim myśliwym jest znany i niejeden rad będzie choć trochę go poznać i oznajmić się z jego zwierzostanem.

W końcu zeszłego tygodnia otrzymałem zaproszenie na walne łowy w okolice nadprutszańskie, urządzane przez jedno z towarzystw myśliwskich tej okolicy, a magiczne w depeszy wyrazy: „dziki, wilki" były dostatecznym bodźcem, by prędko spakować sztucer, fuzyę, kilka setek naboi i wyruszyć do najbliższej stacyi kolejowej. Wesoły i marzący o obfitych trofeach besarabskich, potrącając żydowską hałastrę, u kasy stojącą, wykupiłem bilet do Ungen i ruszyłem w dość daleką drogę.

Na stacyi krzyżujących się linij. Rozdzielnej, gdzie na odpowiedni pociąg długo czekać musiałem, zastałem dość liczne grono myśliwych z Odesy. Nie znałem większej części tych panów, lecz wykwintne ich odzienia, myśliwskie kurtki z tyrolskiego lodenu, szwajcarskie kapelusiki z zadartemi cietrzewiemi ogonkami, z aksamitu spodeńki, angielskie getry na chudych piszczelach, masa różnorodnych, amatorskich precendałów, pozawieszanych na grubych, jedwabnych, z sutemi kutasami, sznurach, a przedewszystkiem napełniający całą salę aromat mille-fleur'ów, na pierwszy rzut oka dały mi poznać wielkomiejskich sontags-jagerów, tych panów, co przez niebaczną nieostrożność często pakują swemu sąsiadowi kilka śrócin w uda. Po krótkich przedstawieniach się wzajemnych, nadszedł nasz pociąg, zajęliśmy kilka przedziałów II-ej klasy i ruszyliśmy w dalszą podróż. Zawiązały się pogawędki, opowiadania historyjek i przygód myśliwskich, nie zawsze nieskazitelnej natury, jak to zresztą bywa między myśliwymi. Z powodu mego pierwszego sądu o pp. nemrodach czułem się cokolwiek zawstydzonym, słysząc, jak niejeden odważnie stawiał czoło niebezpieczeństwu. Jakiś gruby podsędek w złotych okularach opowiadał, jak jedną kulą w największej gęstwinie przeszył dwa wilki, inny mistrzowskim dubletem dwa szarżujące na niego, odyńce pod same nogi powalił — ten znów z ranionym niedźwiedziem przez kilka godzin za bary się wodził, czem tak zmógł misia, iż ten go porzucił i uszedł i t. p. Niezawsze przecież człek jest w sztosie opowiadania lub słuchania dykteryjek, więc i ja dziś wolałem poznawać okolicę, dotąd mi nieznaną, która z nagich, równych i smętnych stepów stopniowo zmieniać się zaczęła w falistą, często malowniczą, usianą licznemi ogrodami, pięknemi winnicami, ogromnemi, mołdawskiemi wsiami z ich maleńkiemi, o wielkich oknach i facyatkach, chałupkami. Linia kolei, przerzynając wartki Dniestr, liczne pagórki, rzeczki i rzeczułki, przechodzi obok murów fortyfikacyjnych starej, tureckiej Benderskiej twierdzy i po za Kiszyniowem wpada w piękną dolinę Byczka. Po obu stronach tej Byczej doliny piętrzą się pasma gór, tonących w ciemnych, dębowych lasach, wśród których nie rzadko dominują klasztory mnichów rumuńskich, swą białością tak pięknie rysujących się na tle cienistych lasów. Klasztor Kuprianski, na górze tegoż nazwania, a obok tegoż kilkadziesiąt ośmioskrzydlatych wiatraków, istnie wspaniały z dala przedstawia widok. Nie brak tu też po lasach dziejowych pamiątek z wojen tureckich, a pomnik Potemkina wśród głuszy leśnej, okopy Piotra I-go — są godne wzmianki. Najwspanialszy jednakże widok przedstawia się ze szczytu bezimiennej góry na rumuńską dolinę Bachłujską, z kolosalnem miastem Jassy, bielejącem swemi murami wśród otaczającej je zieleni i modrych wód Żyzia i Bachłuja.

Nie czas jednakże na podziwy natury; ostry świst lokomotywy przypomina o celu naszej podróży. Wysiadamy i ruszamy na wózkach do leśniczówki, u podnóża stromej góry położonej. Tu nas oczekiwało grono myśliwych i wojskowa, myśliwska komenda. Po wązkiej i stromej ścieżce wydrapaliśmy się na wysoką górę, zajęliśmy wskazane nam miejsca i po chwili głos trąbki, powtórzony tysiącznem echem rozległych dolin, dał sygnał rozpoczętym łowom. Nastrój myśliwych był bardzo poważny—oczekiwaliśmy grubego zwierza, śmiem nawet mniemać, iż nie pod jednym myśliwcem łydki mimowolnie drżały. Inaczej bowiem opowiada się o zwierzu w ciepłym saloniku, przy szklanicy wina, a inaczej wygląda ten zwierz wśród knieji. Niebawem też gdzieś, hen daleko, na skrzydle padł pierwszy wystrzał, wtórował mu drugi, trzeci, dziesiąty, a po każdym huku sto głosów z gardzieli żołdackich rozdzierało powietrze. Widocznie coś grubego ruszyli, pomyślałem sobie, zrobiłem niemy znak krzyża św., opatrzyłem mego Mausera, nastawiłem szneller, a ściskając silnie w garści szyjkę tegoż, wlepiłem wzrok w gęstwinę.

Strzały coraz gęściej padać na skrzydłach poczęły — a na linii cicho. Już głosy i komenda „rawniajsia" dochodziły naszych uszu, a zwierza wcale widać nie było; przyczaił się gdzieś w ostępie. Wtem straszne wycie głosów ludzkich, strzelanina zagrzmiała i na linii pokazał się „zajączek" wystraszony — był to cały rezultat tak obiecująco zaczętych łowów.

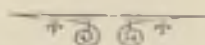
Szybko zmieniliśmy nasze stanowiska, mając teraz przed sobą zagajenia dębowe, 15-letnie, tak gęste i zwarte, że lite-

ralnie na 15 kroków nic przed sobą widzieć nie było można. Założywszy znów dum-dum w dwulufkę, stałem w pozycyi. Hen, gdzieś daleko smętnie zadźwięczał rożek, na linii odpowiedziała mu trąbka i pogonka ruszyła. Znów wrzaski piekielne i kanonada zatrzęsły borem wokoło, a na linii jak makiem posiał—nawet własnego tchu nie słychać, tylko uderzenia serca gwałtowniej postępują. Naraz jakiś szelest, potem trzask łamanych pod ciężką nogą zwierza, gałęzi doszedł mych uszu. Co chwila stawało się wyraźniejszem zbliżanie jakiejś grubej sztuki; idzie wprost na mnie. W wyobraźni mej już widzę wychylającą się potworną głowę dzika z ogromnemi szablami; gałęzie rozchylają się gwałtownie i wynurza się o kilka kroków przedemną łeb... żołnierza, który zmylił kierunek. Jak nie trudno było o wypadek! Słońce już skryło się za góry, gdy obława doszła do linii i tylko jeden lis leżał na rozkładzie. Tyle hałasu, zachodu, a tak mizerne rezultaty tego dnia: zając i jeden lis. Dobrze już ściemniło się, gdyśmy pozostawili komendę na biwaku przy rozłożonych ogniskach pod lasem, sami zaś udaliśmy się pod gościnny dach pp. S., gdzieśmy cały wieczór w miłem towarzystwie spędzili wesoło.

Na drugi dzień mamy spolować najlepszy rewir, udajemy się więc wcześniej na spoczynek. O g. 6-ej rano już zgromadziliśmy się w jadalnej sali, rześwi i pełni nadziei, nawet o pierwszy strzał do grubego zwierza zrobiono kilka zakładów. Około g. 11-ej dopiero stanęliśmy na pierwszych stanowiskach—deszcz lał nielitościwie, a wicher giął las młody do samej ziemi, kręcąc suchemi liśćmi i wyjąc przeraźliwie. Dziś naganka idzie cicho bez sygnału, wrzasków i pukaniny. Męczące jest wyczekiwanie dwugodzinne w takich warunkach. Nigdzie ani głosu, ani strzału, tylko jedno wycie wichury. Wtem wynurzył się z gąszczu pierwszy sołdat, potem 2—10..., gdzieś na skrzydle padł strzał, widocznie do dzika, których tu się spodziewano. Lecz jakiż to był dzik niespodziewany, gdyśmy zwołani sygnałem, stanęli i zbiegli się na miejsce strzału! Pod dębem leżał biały, jak płótno, młody myśliwy, a obok z załamanemi rękami stoi jego towarzysz, który wpakował mu cały nabój wyżej kolana. Nie pomnę, bym kiedykolwiek doznał przykrzejszego wrażenia, widocznie i z resztą myśliwych było to samo, bo ułożywszy chorego na wózek i odprawiwszy go do najbliższej stacyi, zaniechaliśmy dzisiejszych dalszych łowów. Trzeci dzień niefortunnych łowów zaczął się pomyślniej. W pierwszym miocie pokazał się lis, kilka zajęcy i puhacz. W drugim przeszły sarny obok mnie, a koło mego sąsiada 7 wilków, do których z powodu strasznej gęstwiny, strzelać nie było można. Mówiono, że stado dzików przesunęło się przez nagankę, lecz za wiarogodność tego ręczyć nie mogę. Po całodziennych włóczeniach się po górach, wąwozach i jarach, upolowaliśmy dziś lisa i 4 zające, z których dwa na moją przypadło dolę. Gdzie moje nadzieje, marzenia i wygrana?

Tyle dni polowań w tak pięknej i dla wszelkiego zwierza sprzyjającej okolicy, gdzie można było spodziewać się świetnych rezultatów, dały tak mizerne wyniki. Przyczyną tego bez wątpienia jest w znacznej części okropne kłusownictwo, uprawiane przez niższą straż leśną. Polowałem w różnych guberniach i powiedzieć śmiało mogę, że rezultaty najgorsze dawały zawsze lasy rządowe. Jednym ze środków zaradczych byłoby odebranie straży leśnej strzelb, a uzbrojenie jej w rewolwery, jak to praktykuje się w większej części w prywatnych dobrach.

Wł. Czernicjewski.



WYPRAWA MYŚLIWSKA
do Mongolii.

(*Dalszy ciąg*).

W Mielnicznej zjechałem się z kolegami, którzy ciężką przez góry i wpółzamarzłe rzeki, mieli przeprawę. Całe dwa dni przygotowujemy się do jazdy do Mongolii i wymyślamy na Czykoj, że ruszyć nie chce. Idziemy z flintami z Feliksem, bo Anglik przeziębił się, coś mu trochę niedobrze. Szczęście i tym razem nam nie dopisało — nic nie wiedzieliśmy; wieczorem przyjeżdża posłaniec z zawiadomieniem, że do Sawicz przyprowadzili konie na sprzedaż. Jedziemy tam nazajutrz rano. W Sawiczach czekało nas z dziesięciu Buratów i ze trzydzieści koni. Po długich targach, próbach i przejeżdżaniach, wybraliśmy pięć koni, w cenie od 30 do 50 rb. Trzy pod juki, jeden wierzchowy dla Anglika. Ja pod swoją dużą wagę narazie konia znaleźć nie mogłem, a Feliks zanadto wybredzał. Szkapska chude, ale, jak się zdaje, powinny być mocne i, co najważniejsze, w jedzeniu niewybredne. Z powrotem jechaliśmy drogą naokoło przez góry. Trzeba było piąć się w górę, a konia ciągnąć za sobą i to kilka wiorst. Podziwiałem Feliksa, idzie, jakby urodzony góral, ani się nawet zasapie. Ja bo wywindowałem się z mozołem na górę, ale dalej ani kroku. Musiałem wystękać się i wysapać z pół godziny, nim byłem w stanie dalej jechać.

W Mielnicznej zastaliśmy kolegę Feliksa. p. W. Z., z jego zarządzającym. Sympatyczni i weseli to ludzie. Anglik ciągle nie domaga, więc zamiast—jak było postanowione — pojutrze we wtorek, mamy jechać w sobotę. Przez noc tak znacznie pogorszyło się Anglikowi, że postanawiamy wieźć go jutro do doktora, do Knowy, a to opętanych wiorst 150. Jeżeli doktór zadecyduje, że to przejdzie, to zaczekamy; jeżeli będzie musiał dłużej pozostać, to sami pojedziemy do Mongolii, a on po wyzdrowieniu poczeka na nasz powrót u Zduszywnicza. Pakujemy więc rzeczy i po południu ruszamy do Sawicz; w drodze łapie nas wichura ze śniegiem i tnie tak w oczy, że jechać nie można. Ile razy gdzieś wyjeżdżamy, choćby w najlepszą pogodę, zawsze musi nas śnieg w drodze złapać! Czykoj jeszcze nie ruszył, ale łódką można się przeprawić. Feliks jedzie do przewodników, by ich i konie do Uść Urłuku, krańcowej, kozackiej placówki nad granicą Mongolii, wysłać. Ja ze względu na chorego, któremu znacznie się pogorszyło, nocuję w Sawiczach. Mamy zjechać się w Uść Urłuku, skąd sam Feliks przewiezie chorego do Kudary. Wieczorem zjawia się ojciec służącego naszego i oświadcza, że syn zachorował. Ma się rozumieć, udana to choroba, bo gruby zadatek otrzymał naprzód, więc woli go capnąć, niż narażać się na trudną i niebezpieczną może podróż. Po części jesteśmy temu radzi, bo wałkoń był wielki, a rekomendują nam takiego, co już nieraz bywał w Mongolii. W Uść Urłuku zjeżdżamy się z naszymi ludźmi i Feliks wiezie chorego do Kudary, zostawiając mnie ostateczne przygotowania do podróży. Kupuję dwa konie pod wierzch dla siebie i Feliksa i, zdaje się, tym razem dobrze wybrałem. Rano generalny przegląd ludzi i koni. Więc naprzód Kirilo i Iwan, dwaj Karimi, znani i dzielni myśliwi. Kirilo wypadł Feliksowi, a Iwan mnie. Śniade, krępe figury, jeden z Winczestrem, drugi z Berdanką na soszkach, sympatycznie wyglądają. Potem Petrucha, kucharz, lokaj, szewc i krawiec w jednej osobie, jak się później okazuje, nieoceniony nabytek. Z koni dwa nasze wierzchowce, trzy—ludzi i trzy pod rzeczy, ewentualnie może pod trofea, bo rzeczy zabieramy bardzo niedużo. Kilka zmian bielizny, zapasowa para butów, kołdra i worek skórzany, bo noce chłodne— ot i wszystko. Przez te dwa dni, które czekam na Feliksa, każę konie kuć na wszystkie cztery nogi, siodła smarować, rzemienie zamieniać na włosiane taśmy (nierównie praktyczniejsze na wilgoć) i z przywiezionych brezentów szyć „sumy“, t. j. worki podwójne, w które wszystko się pakuje. Do jedzenia bierzemy pud chleba, pud sucharów i mięsa 10 f. na dwa dni. Później mamy nadzieję, że dzięki polowaniu, mięsa nam nie zabraknie. Ma się rozumieć, herbaty i cukru biorę zapas spory, jak również kociołek i imbryk.

Na drugi dzień wraca Feliks ze smutną wiadomością, że Anglik chory na zapalenie błony brzusznej i długo leczyć się będzie musiał. Żal nam biedaka,

ale cóż robić. Raniutko przeprawiamy się dużą łodzią z ludźmi i końmi przez rzekę i jesteśmy w Mongolii.

Nareszcie!

Narazie niefortunnie podróż się zaczyna. Nie mówiąc o śniegu, który, wedle zwyczaju, wyjazdowi naszemu towarzyszy, wypoczęte konie wyrywają się, rozrzucają juki i zmykają do domu. Zostawiamy ludziom łowienie koni i porządkowanie rzeczy, a sami z Feliksem spieszymy na górę, która nam widok zasłania. Spieszno nam do nieznanego kraju, do polowania, do nowych a nieznanych wrażeń.

Z góry cudowny widok na „Urczyn", t. j., olbrzymią łąkę, dokoła górami opasaną. W lecie życie tu kipi i stoją masy jurt mongolskich, teraz pusto i tylko na widnokręgu widać jurtę, naokoło niej stado owiec i pasący się tabun koni.

Czekamy na nasze konie i ludzi, a tymczasem niecimy ogień, bo zimno tak przenikliwe, że nawet futerko niewiele pomaga. W dobrą godzinę zjawiają się nasi przewodnicy i ruszamy dalej.

Powoli krajobraz zaczyna się zmieniać i po przejechaniu dużego, sosnowego lasu, wjeżdżamy w czysty step, gdzieniegdzie usiany kępkami brzóz. Tymczasem się rozpogadza i słońce zaczyna palić niemiłosiernie. Jedziemy powoli, bo co chwila któryś z nas próbuje podejść gęsi, ogromne kuliki lub chińskie kaczki turpany, których mnóstwo nad strumykami się uwija. Po kilku nieudałych strzałach na odległość 200 i 300 metrów, dajemy temu polowaniu za wygraną, tembardziej, że przejazd mamy dziś duży przed sobą. Nie zatrzymujemy się nawet w południe i koło godziny 4-ej dojeżdżamy do dzisiejszego celu, rzeczki Kudary. Rzeczka strasznie rwąca i wygląda na głęboką. Medytujemy, gdzieby ją przebrodzić, gdy z niedalekiej jurty zjawia się Mongoł i przeciągłem *Mundoo*, pokazuje nam bród.

Rozkładamy się za brodem obozem. Konie spętane, pasą się na starej trawie, a my, rozłożywszy ogień, popijamy herbatę. W trakcie tego nadjeżdżają Mongołowie, przeprowadzający się ze swoją jurtą na nowe koczowisko. Idzie cały szereg, sześć czy siedm dwukołowych wózków, w hoble zaprzągnięte byki, a na każdym byku siedzi dzieciak albo dziewczyna, kierująca nim; naokoło na koniach mężczyźni. Pierwszy byk, obejrzawszy wodę, nie chce w nią wchodzić, wspólnemi więc siłami wpychają go do dość głębokiej w tem miejscu, rzeczki, a za nim już bez oporu idą inne. Podczas, gdy tabor cały ciągnie dalej, mężczyźni podjeżdżają do naszego ognia, witają się swojem *Mundoo* i każdy lokuje się koło ogniska, jak mu najwygodniej, sięgając wyciągniętą z za pasa, drewnianą „czaszką", miseczką, do wspólnego kociołka po herbatę. Nikomu z nich do głowy nawet nie przyjdzie zapytać, albo zaczekać, by go poproszono. Po wypiciu obowiązkowej miseczki herbaty, wzamian częstują nas tabaką do wąchania, którą noszą w skórzanych, szytych jedwabiem, woreczkach; zapalają swoje kute w srebro, fajeczki i po przeciągłem *Mundoo*, w galopie dopędzają swój tabor. Jeden z Mongołów owych był lamą. Różni on się od towarzyszów czerwoną barwą „degil" (wierzchnie ubranie, sięgające do kostek), ogoloną głową i tem, że nie ma z sobą żadnej broni, a zamiast kindżału, z którym tu żaden Mongoł nigdy się nie rozstaje, ma za pasem rodzaj naszego różańca, którego paciorki ustawicznie w palcach przesuwa, szepcąc pewną formułkę.

C. W.

(D. c. n.).

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 16 grudnia. P. Gubernator suwalski przedstawił wykaz broni, odebranej w tejże gubernii przez straż ziemską w 1902 roku. Wykaz ten obejmuje 316 strzelb myśliwskich. Postanowiono na nagrody straży przesłać na ręce p. Gubernatora 158 rub.

P. Gubernator siedlecki przedstawia takiż wykaz, obejmujący 324 strzelby. Na nagrody w gub. siedleckiej wyasygnowano 162 rb.

Posiedzenie Rady, 23 grudnia. Rada otrzymała propozycyę nabycia kolekcyi rogów od jednego z Członków, który zbierał je z trudem przez czas długi, a obecnie postanowił sprzedać. Po obejrzeniu i ocenieniu kolekcyi, która zresztą stanowi raczej zbiór rogów różnych, a nie kolekcyę w ścisłem tego słowa znaczeniu, za 13 sztuk rogów różnych, ofiarowano właścicielowi 130 rub.

Pozatem załatwiono kilka czynności gospodarczej natury.

Posiedzenie Wydziału ochrony i polowań, 28 grudnia. Postanowiono zawrzeć dwunastoletni kontrakt o dzierżawę polowania na dobrach Miodnik, w gub. siedleckiej. Dobra te, będące własnością hr. Ostrowskiej, składają się z 300 włók lasu i 150 włók pola i łąk. Cena dzierżawna ma wynosić w ciągu pierwszych dziewięciu lat po 450 r. rocznie, a przez ostatnie trzy lata po 600 rb. Dojazd do stacyi Zieleńca kolei petersburskiej dogodny. Ponieważ z chwilą wzięcia w dzierżawę tych dóbr zwiększą się wydatki Wydziału, postanowiono prosić Radę o bezzwłoczne zwołanie Ogólnego Zebrania Członków, któremu przedstawiony zostanie wniosek o wyznaczenie na koszta prowadzenia myślistwa na nowych terenach sumy 3,500 rb. na r. 1904. Tereny w dobrach Miednik nadają się doskonale do hodowli zwierzyny i za lat parę mogą dać Członkom Oddziału polowania o wiele obfitsze rezultaty, aniżeli tereny Osieckie.

Postanowiono również wypłacić gratyfikacye noworoczne strzelcom na terenach Osieckich, każdemu po 10 rb.

Na posiedzeniu Delegacyi Wyborczej w d. 21 grudnia z. r. następujący kandydaci zaliczeni zostali w poczet Rzeczywistych Członków naszego Oddziału, pp: Ks. Bauer Hipolit z Żerominka, Lasocki Władysław z Warszawy, Domaszewski Bolesław z Ujazdowa i Godlewski Mścisław z Warszawy.

Z żałobnej karty.

W d. 22 grudnia r. z. rozstał się z tym światem ś. p. **Ignacy Malewski**, sędziwy i powszechnym szacunkiem cieszący się burmistrz m. Węgrowa, w gub. siedleckiej. Zmarły padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku na polowaniu. Jako zapalony od lat najmłodszych myśliwy, korzystając z pięknej pogody, udał się na polowanie ś. p. Ignacy Malewski, wraz z kilkoma towarzyszami. Polowano z naganką. Niestety, nie przestrzegano w tem kółku myśliwych, powszechnie obowiązującego już dziś, zwyczaju, że ze stanowiska z ładunkami w strzelbie zejść nie wolno. Jeden z uczestników tego nieszczęsnego polowania, zmieniając stanowisko, złamał tylko strzelbę, a pozostawił w lufach naboje. Idąc wraz z innymi, potknął się, strzelba, spoczywająca mu na ramieniu, osunęła się, chwycił ją więc raptownie spadającą już na ziemię, ale przy tym ruchu strzelba się zatrzasnęła i ładunek wypalił, godząc idącego tuż, ś. p. Ignacego Malewskiego w biodro. Śrót strzaskał kość i staw biodrowy. Ranny, przywieziony do Warszawy, poddany został operacyi; kość zgruchotaną wyjęto, ale życia mu to nie uratowało. Zmarł na drugi dzień po operacyi. Smutny to nad wyraz wypadek!

Kronika Myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

D. 3 grudnia r. z. u p. Karczewskiego w Cieninie odbyło się polowanie w 14 strzelb, na którem zabito 160 zajęcy i 30 kuropatw. Królem łowów był p. prof. Alfred Wierusz-Kowalski.

D. 5 grudnia r. z. polowano w dobrach Ciążeniu u p., z Golczów Dąbskiej, w 14 strzelb, podczas fatalnej pogody zabito 120 zajęcy i 35 kuropatw. Królem łowów był p. K. Murzynowski (syn).

D. 5 grudnia r. z. odbyło się polowanie w dobrach Strzyżów, p. Wiliama Dicksona, w pow. Sochaczewskim, na którem zabito w 7 kociołkach na obszarze około 30 włók, 155 zajęcy i 10 kuropatw. Tak świetny rezultat należy zawdzięczać nadzwyczaj troskliwej ochronie zwierzyny przez właściciela, gdyż w sąsiednich majątkach zwierzostan jest o wiele gorszy. Szczególnie udatne były 2 kotły, w jednym padło 35, w drugim 38 zajęcy. Królem polowania był p. Ziółkowski, który miał na rozkładzie 20 zajęcy. Nadmienić wypada, że pogoda była niesprzyjająca, bo padał deszcz i ziemia była rozmiękła.

D. 7 grudnia r. z. odbyło się polowanie u pp. Golczów w Ratyniu, na którem w 14 strzelb zabito 20 zajęcy i 80 kuropatw. Gęsta mgła utrudniała łowy. Królami łowów byli: prof. Alfred Wierusz-Kowalski i p. Stanisław Mielęcki. Zwierzostan wogóle pozostawia wiele do życzenia — skutkiem niepożądanej pogody dla myśliwych, jak również wzrastającej ciągle liczby kłusowników, grasujących najwięcej w pow. konińskim.

D. 12 grudnia r. z. odbyło się doroczne polowanie w Wilczogórze, w gub. warszawskiej, w pow. grójeckim, u p. Władysława Wołowskiego. W 16 strzelb zabito: 120 zajęcy i 18 kuropatw. Królem łowów był p. Roman Daltrozzo, mając na rozkładzie 19 zajęcy i 4 kuropatwy.

D. 14 i 15 grudnia r. z. u hr. Ostrowskiego, w lasach, należących do dóbr Bąkowa Góra w pow. noworadomskim, odbyło się polowanie w 10 strzelb, na którem zabito 690 sztuk zwierzyny. Królem łowów był August St. hr. Potocki.

W dobrach Dęby Szlacheckie, p. Jana Łuszczewskiego (w pow. kolskim) w d. 14 grudnia r. z. odbyło się polowanie w 12 strzelb. Zabito: 445 zajęcy, 16 kuropatw, 2 rogacze i znaleziono otrutego lisa; razem sztuk 464. Rezultat na 60 włókach wspaniały. Polowanie w dobrach Dęby Szlacheckie należy do najlepszych w kraju. Królem polowania był p. Tadeusz Busse.

W dobrach Załuski, w pow. płońskim, u p. Stanisława Jaworowskiego w połowie grudnia odbyło się polowanie, na którem w 7 strzelb zabito 89 zajęcy i 6 kuropatw. Królem łowów był p. Józef Czarnowski z Kroczewa.

D. 17 grudnia odbyło się polowanie w dobrach Krzesimów, w pow. lubelskim, należących do p. Stanisława Sonnenberga. W 14 strzelb ubito: 4 kozły, 4 lisy, 1 kuropatwę i 156 zajęcy. Królem był p. Zygmunt Olszowski, który miał na rozkładzie 22 sztuki.

D. 17 i 18 grudnia r. z. odbyło się dwudniowe polowanie w dobrach bar. Dangla: Skłótach i Niedrzewiu. Polowano w 16 strzelb i zabito 253 zające, 30 kuropatw i lisa. W pierwszym dniu królem łowów był p. Bronisław Ordęga, drugiego dnia—pani Ludwikowa Kiwerska z Niedrzewia.

D. 18 grudnia r. z. odbyło się polowanie w bażantarni Nieborowskiej, dzierżawionej przez p. Aleksandra Szwedego. W 8 strzelb zabito: 53 koguty—bażanty, 4 kuropatwy i 49 zajęcy—razem 106 sztuk. Królem polowania był hr. August Zamoyski z Rożanki, zabiwszy 15 bażantów, 3 kuropatwy i 4 zające.

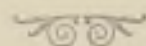
D. 21 grudnia polowano w Gałkówku, w pow. brzezińskim, u p. Tadeusza Różyckiego; w 12 strzelb zabito dzika, 2 rogacze i 131 zajęcy. Królem łowów był p. Stanisław Chromiczewski; zabił 2 rogacze i 6 zajęcy.

D. 21 grudnia w Cyronowie, w gub. siedleckiej, u pana Franciszka Górskiego odbyło się polowanie w 8 strzelb, na którem zabito: 1 rogacza, 1 lisa, 102 zające i 2 kuropatwy. Król polowania, p. Ludwik Górski (junior), miał na rozkładzie 20 zajęcy i 2 kuropatwy. W Cyronowie, dzięki opiece, jaką rozciągnięto w kierunku ochrony, zwierzostan poprawia się z roku na rok. Opolowywa się rocznie tylko połowa terenów.

W Jabłonnie hr. Augusta Potockiego w dzień Wigilijny odbyło się polowanie, na którem zabito 123 zające i 2 rogacze.

Z powodu nieobecności hr. Ksaw. Branickiego, którego mała niedyspozycya zatrzymała na święta w Krakowie, polowanie Wigilijne na polach Wilanowskich nie odbyło się. W dniu tym grono myśliwych, polując corocznie na polach Wilanowskich, korzystając z uprzejmego pozwolenia hr. Branickiego, próbowało myśliwskiego szczęścia na Zawadach, gdzie w 6 strzelb w parę godzin zabito 23 zające i 2 kuropatwy.

D. 30 grudnia r. z. odbyło się polowanie Członków Warszawskiego Oddziału Tow. pr. myśl. na Warszowicach. Przy pięknej mroźnej pogodzie w 21 strzelb zabito 126 zajęcy i 12 kuropatw. Najwięcej na rozkładzie miał p. Szmidt (11 zajęcy). Królem polowania jednak jest p. Kaetzler, który zabił 6 zajęcy i 4 kuropatwy, co na liczone punkta wynosi 18 punktów.



Drobiazgi myśliwskie.

Odczyt o locie ptaków. W szeregu przyrodniczych odczytów, urządzonych tego roku w Muzeum przemysłu, ostatni z nich zawierał wiele szczegółów, bliżej obchodzących każdego myśliwego. Prelegent, p. Jan Sosnowski, mówił mianowicie między innemi o locie ptaków, przedstawiając także mnóstwo obrazów niknących, wyobrażających położenie ptaka, skrzydeł i lotek w chwili zrywania się, bujania w powietrzu, opuszczania się i t. d. Obeznanie się dokładne z tego rodzaju szczegółami przyczynić się może do tem trafniejszego celowania do latającego ptactwa. Prelegent opisał też w sposób barwny i zajmujący, ruchy, wykonywane przy podnoszeniu i opuszczaniu skrzydeł, lot poziomy bez uderzeń skrzydłami, lot przy pomocy wiatru, spadanie i wzbijanie się ptaków większych, sokołów, pelikanów i t. d. Obliczał dalej, że bocian uderza podczas lotu skrzydłami raz na sekundę, kaczka—4 razy, wróbel aż 13. Osobną uwagę poświęcił ptactwu wodnemu. Przy badaniu lotu ptaków niezmiernie pomocną jest fotografia, pozwalająca w ciągu bardzo krótkiego czasu otrzymać kilkanaście zdjęć ptaka lecącego. Na ekranie widzieli też obecni ruchy skrzydeł podczas lotu gołębia.

Twórczość i polowanie. Gabryela Zapolska zwierzyła się świeżo w liście, w jakich warunkach tworzyła najnowszy swój dramat „Samuel Zborowski“ wespół [z poetą Andruszewskim. Oto Zapolska wyjechała ze swym mężem, Janowskim, z Tetmayerem, Andruszewskim i kilku innymi przyjaciółmi na Ruś, aby przez kilka tygodni odpoczywać w lasach ogromnych i bawić się polowaniem. „Kiedy inni — pisze Zapolska — zabijali słonki, kszyki, zające, lisy, rogacze, a czasem—lecz to *sub secreto*—i biedną siutę (sarnę—kozę) przez pomyłkę zamordowali, my we dwoje,

stojąc na „stanowisku“, nie troszczyliśmy się o wrzaski naganki, ani o ciszę zasiadki, tylko ciągle omawialiśmy naszą tragedyę“.

Chopin myśliwym. Czy genialny muzyk polski, Chopin, był zwolennikiem myślistwa? Na pytanie to znajdujemy odpowiedź w jednym z listów Chopina, pisanym w r. 1825 do przyjaciela, Jana Matuszyńskiego, a zdającym sprawę z wrażeń, doznanych podczas wycieczki do Torunia. Oto, co Chopin pisze między innemi. „Jeżeliś Ty mi Twojemi Puławami i zającem strachu chciał narobić, to ja moim Toruniem i zającem, ale pewno większym od Twojego, i czterema kuropatwami, którem onegdaj z pola przyniósł, upokorzyć owego niedoświadczonego strzelca zamyślam“.

Zaraza na psy. Jak donosi „Wost. Wiest.“, Kamczatkę nawiedziła zaraza na psy, które na dalekiej północy zastępują konie i renifery. Osoby, powracające z Kamczatki, stwierdzają, że zaraza przybrała tam zatrważające rozmiary. Choroba przewieziona została na parostatku kamczackiego towarzystwa handlowo-przemysłowego, które przewoziło psy z Ochocka w czasie, kiedy tam panowała dżuma na psy. Choroba rozpoczęła się we wrześniu i doszła do kulminacyjnego punktu w grudniu. W tym czasie połowa wszystkich psów na Kamczatce padła pastwą zarazy, przez co większość ludności, żyjąca jedynie z polowania na sobole, pozbawioną możności udania się na łowy. Wilki i sobole również padać poczęły całemi stadami, co miejscowi mieszkańcy objaśniają tem, że zwierzęta te pożerały trupy psów, leżące literalnie wszędzie, skutkiem czego same zarażały się dżumą. O jakiejkolwiek pomocy nie mogło być nawet mowy, gdyż na całej Kamczatce niema ani jednego weterynarza.

Nielada erudycya. Jedno z naszych pism tygodniowych, oburzając się na zwolenniczki... Battistiniego, kaleczy przy tej sposobności język... myśliwski. Oto bowiem porównanie, więcej niż zabawne: „Wtargnąwszy do garderoby, spokoju Battistiniemu nie dawały (kobiety), jako na *tokowisku* one *łanie* jeleniowi - *rogaczowi*!“ Tokowisko, łanie i rogacz! Co to jest? Gdy o „łaniach“ mowa, to skąd się wzięło tokowisko? Ma to być zapewne „rykowisko“, a gdy na niem jest łania, nie koza, to powinien być „byk“ — a nie rogacz.

* * *

— Mieliśmy doskonałych naganiaczy — opowiada myśliwy *niedzielny* —, spędzili nad jezioro z 50 kotów, ani jeden nie uszedł!

— Tak? — zapytuje złośliwy leśniczy. — Więc wszystkie się potopiły?

* * *

Lewi powraca z polowania i opowiada małżonce:

— Wiesz, Sara, tak się przestraszyłem... Jakem się w lesie schylił, to moja strzelba wystrzeliła!

— Co ty — narzeka Sara — potrzebujesz chodzić na polowanie ze strzelbą? Lepiej ją zostaw w domu.

ZAPYTANIA i ODPOWIEDZI.

Zapytanie Nr. 1. Jako prenumerator „Łowca Polskiego“, proszę o łaskawe wyjaśnienie:

1) Czy wolno jest polować na zające z sanek.

2) Czy urządzając nagankę w polu na zające z 4 myśliwych i 10 chłopaków, trzeba zawiadomić władzę każdorazowo. Albowiem takie małe naganki chcę urządzać u siebie w celu odstrzelenia nadmiaru samców zajęcy.

Prenumerator z Łęczyckiego.

Odpowiedź Nr. 1. 1) Prawo z 1871 r., obowiązujące dla Królestwa Polskiego, nic nie wspomina o polowaniu na zające z sanek, co znaczy, że ten rodzaj polowania jest dozwolony. Wzbronionem jest tylko polowanie z sanek na kuropatwy.

2) § 29 wspomnianego prawa mówi, że „obławy prywatne nie inaczej odbywać się mogą, jak z wiadomością miejscowej władzy policyjnej“. Ponieważ nie jest tu ograniczona ani ilość myśliwych, ani ilość obławników, zatem i w danym przez Szanownego Pana, wypadku należy zawiadomić miejscową władzę policyjną.

Jan Sztolcman.

Treść Nr 1 „Łowca Polskiego“.

Życzenia noworoczne. — Zając pospolity. *Wiktor Stephan* (dalszy ciąg). — Miękkopiór, czyli kaczka edredonowa. — Polowanie na ptactwo wodne w Hiszpanii. — Tępienie wilków. — Z Besarabii. — Wyprawa myśliwska do Mongolii. *C. W.* (dalszy ciąg). — Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa. — Z żałobnej karty. — Kronika Myśliwska. — Drobiazgi Myśliwskie: (Odczyt o locie ptaków) (Twórczość i polowanie) (Chopin myśliwym) (Zaraza na psy). — Humorystyka. — Zapytania i odpowiedzi.

W felietonie: Na rojstach litewskich. (Ciąg dalszy).

Ilustracye: Ranek zimowy.

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO“ Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego“ adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.